

Gnębiciele i krzywdzeni (tytuł roboczy - do wymiany) Rozdział 8 — Kazjuno

Od autora: Dalszy ciąg kilkuwątkowej powieści - którą ktoś określił - sensacyjnym kryminałem historycznym. I właśnie taka definicja, bardzo przypadła mi do gustu.

Chyba już wspomniałem o swoich - zapewne wygórowanych - ambicjach wygłaszania wykładów z historii. Staram się pokazywać wydarzenia z lat powojennych zgodnie z prawdą historyczną. Czy mi się to udaje? Nie wiem - tu powinni wypowiedzieć się rzetelni historycy.

Oczywiście nie piszę podręcznika historii. Co najwyżej uzupełniającą lekturę - mogącą wspomóc zrozumienie tamtych trudnych czasów.

Już przed pierwszym rozdziałem wyjaśniałem, że staram się tworzyć przekaz jak potrafię najatrakcyjniej. Więc nie ma u mnie seksu i przemocy, mordobić, a nawet morderstw.

Taki przekaz forsują producenci z Hollywood. Przecież masowy widz najchętniej ogląda hity typu: Rambo, Rocky Balboa, Parszywa dwunastka, czy bardziej współczesne ocekające krwią dzieła: Pedro Almodovara lub Scorsese.

A w nich pełno krwi, zapachu wystrzelonych pocisków, zmasakrowanych truposzy.

Prawie jak u Kazajuno, który ma być może chorobliwe aspiracje napisania książki, która adaptowana na scenariusz do ruchomego kina, może przyciągnie sporo widzów zdziwionych, że i na naszych ziemiach działy się sceny jakby żywcem wyrwane z westernów.

Rozdział 8 Wejść w łaski ubeków

Po zaarrestowaniu i długo ciągnących się przesłuchaniach na UB w Domu Śląskim, Alicję Kędziołek vel Złotą Alę przewieziono do więzienia Św. Michała na ulicę Senatorską 3.

W samochodzie więźniarce razem z Alą przyjechała odziana w czarny kostiumowy uniform SS Niemka - była szefowa centrali telefonicznej przy esesmańskich koszarach na ulicy Rajskiej. Nowe pensjonariuszki wzbudziły zainteresowanie zarówno więźniów jak i służby więziennej.

Już w czasie przesłuchań na UB Złota Ala dowiedziała się, że nie ma szans wywinąć się od stryczka. O zbrodniczej roli jaką odgrywała w Auschwitz, więźniowie dowiedzieli się od klawisza, którego brata zamordowano w Oświęcimiu.

Kończył się marzec 1946 roku, robiło się coraz cieplej. Złota Ala wraz z esesmanką i jedenastoma kobietami odbywały przechadzkę na świeżym powietrzu, gdy na spacerunku usłyszano krzyk z okna jednej z najwyższych cel dawnego klasztoru zamienionego na więzienie.

- Ta blondyna, to oświęcimska kapo!

Ala stanęła jak sparaliżowana, po czym ruszyła udając, że wyrzeczane słowa nie dotyczą jej osoby.

- Ty! Morderczyni! Nie udawaj niewiniątka! – dalej pokrzykiwał ktoś z okratowanego okna trzeciego piętra.

Kobiety na spacerunku stanęły i zaczęły się sobie przyglądać.

- To ta – prostytutka o budowie atletki wskazała na przerażoną Alę. – Pod celą masz wpierdół, pięknie – dodała groźnym tonem.

Zamiana słów w czyn rozpoczęła się, po krótkim zmaganiu, do którego doszło już w celi. prostytutka, początkowo zaskoczona bokierskimi ciosami zadanymi przez oświęcimską kapo, przez moment była zamroczona. Jednak otrząsnęła się jak pies strzepujący z sierści wodę i zaatakowała Złotą Alę bodąc ją głową w brzuch. Tak udało jej się przedrzeć do półdystansu i rozpocząć zapasy w czym okazała się lepsza. Wywróciła i przygniotła obfitym cielskiem kochankę Jurka Wołczeckiego, wypracowując wygodną pozycję do zadawania ciosów.

- Ziabij tom eśeśmańską kulwe! – krzyknęła wychudzona złodziejka pozbawiona zębów.

Ala zaczęła tracić przytomność już po pierwszych otrzymanych ciosach, które teraz rozbłyskiwały jej w głowie niczym eksplodujące granaty.

- Jeszcze dam jej trochę po ryju, a potem kurwę uduszę – na chwilę dysząca prostytutka obróciła się w stronę bezzębnej złodziejki, nie przestając miarowo grzmocić Złotej Ali po twarzy i głowie.

Jeszcze parę chwil i oświęcimska kapo niechybnie wyzionęłaby ducha, gdyby nie przechodzący korytarzem klawisz. W więzieniu mówiono na niego „ruski amant”, bowiem znane były jego niewybredne metody wykorzystywania co ładniejszych więźniarek. Właśnie zainteresowany był celą, w której siedziała ponętna oświęcimska kapo. Snuł już plan jak w nocy wywabić ją z celi, dać jej posmakować dobrej kielbasy, spoić wódką, po czym jeśli będzie stawiała opór, to przyłożyć parę razy i zmusić do zdjęcia majtek. Zanim zaglądnął do środka przez judasz zdziwił się docierającym z celi odgłosem przypominającym ubijanie tłuczkiem schabowych kotletów.

- Kurwa mać! – krzyknął patrząc przez wizjer.

Nerwowo otworzył celę i zepchnął ze świeżo przybyłej więźniarki mocarną prostytutkę dokonującą samosądu. Zmasakrowaną Złotą Alę przeniósł z pomocą kolegi na oddział szpitalny, gdzie po trzech dniach odzyskała przytomność.

Gdy po raz pierwszy dotknęła swojej zwykle wypielęgnowanej twarzy, przez moment wydało się jej, że dotknęła fragmentu obcego ciała, przypominającego krągłość miękkiego poślodka. Doznała szoku, gdy pielęgniarka podała jej lusterko.

- To nie może być. Gdzie, kurwa, moja uroda? – powiedziała niewyraźnie, bo usunięto jej korzeń po złamanym przez prostytutkę zębie.

Po dwóch dniach od powrotu do świadomości Ala miała jeszcze zawroty głowy, gdy zdecydowano się przeprowadzić ją do innej celi. Korytarzami o łukowych sklepieniach sufitu konwojowała ją młoda strażniczka i gdy weszły na drugie piętro z naprzeciwka nadeszli dwaj funkcjonariusze służby więziennej. Zalatywało od nich wódką.

- Zaczekaj no Iruchna – zwrócił się do funkcjonariuszki więziennej ten przezywany „ruskim amantem”.

Zatrzymał strażniczkę chwytając ją za przedramię.

- To ta z Oświęcimia, co ją uratowałem? – zapytał z trudem rozpoznając siną i obrzękłą twarz Ali. – No widzisz hitlerowskie ścierwo – zwrócił się do przestępczyni, przed pobiciem wyróżniającej się urodą spośród innych więźniarek. – Jeszcze parę dni temu miałem na ciebie chrapkę, a teraz? Z takim oszpeconym szamotem nie zechce cię wyruchać nawet pies z kulawą nogą.

- Czego się czepiasz? Przecież ma na czym siedzieć i czym oddychać – odezwał się drugi klawisz, lubieżnie wodząc wzrokiem po biuście, biodrach i nogach ledwo potrafiącej ustać Ali. – Nie musisz jej od razu „ten tego” w obitą buziuchnę.

- Idziemy – pociągnęła młoda strażniczka ofiarę brutalnej prostytutki. – Świnie się ochlały i tylko jedno w chamskich głowach – dorzuciła jakby do siebie.

- Wsadź se między drzwi a framugę – warknęła Ala, odwracając się do klawiszy.

- Oj Irusiu, Irusiu, buntujesz nam nasz skromny harem. Nieładnie, nieładnie. Zamiast się dąsać wypiłabyś z kolegami wódeczkę.

- Jeszcze czego... i może potem dała dupy? – odpowiedziała głośno strażniczka.

Konwojowana więźniarka przyglądała się prowadzącej ją kobiecie.

- Muszę przyznać, że pani, pani Ireño, mimo tego parszywego munduru jest piękną kobietą – wygłosiła komplement.

Do przebiegłości, czyli uknuć błyskotliwych pomysłów, jak zaplątywać pajęczynę, by móc omotać Ognia, Sprytnemu potrzebne było szczęście. Przedtem, dzieląc się planami z majorem Pachcicem, ożywiony kawą pobudzającą szybsze generowanie cwaniackich forteli, zawieszał na chwilę głos. Przeżywał chwile wątpliwości i w tych krótkich momentach docierały do niego ponure przypuszczenia, że jego pomysły są zbyt ryzykowne i ich realizację może przypłacić życiem. Nie chciał jednak, by siedzący przed nim zwierzchnik pomyślał, że są niewykonalne, więc ponawiał temat. Przystojny ubek w stopniu majora, uosabiał ostatnią nadzieję, która mogła dać szansę na uratowanie kochanki przed strykiem. Mimo, że rozmówca był przedstawicielem pogardzanej w duchu władzy, zdecydowanie go polubił. Zdawał sobie sprawę, że nikt inny, a właśnie ten facet, którego oczy połyskiwały iskrami odwagi, był też ryzykantem przekonany o sensowności jego propozycji. Jurek miał prawie pewność, że gdyby plany się powiodły z pomocą majora Pachcica, mógłby wyciągnąć Złotą Alę na wolność.

Do Nowego Targu nie pojechał zaproponowanym mu przez majora Willysem. Wolał nie zwracać na siebie uwagi.. Wiedząc, że mogą go obserwować ludzie donoszący Ogniewi, wybrał pociąg.

Rodzinę złodzieja Walentino – noszącego nazwisko Czereśniak – we wsi Waksmund znało wielu.

- Taki elegant i zadaje się z tymi łapciuchami? – zdziwiła się sprzedawczyni w sklepie winno cukierniczym, który Jurek Wołczecki zamierzał złupić wraz ze swoją bandą w Boże Ciało minionego roku. – Dobrze pan idziesz to ten dom pod lasem. Tylko nie radziłabym panu tam wchodzić. Ony od pary dni już piją, wtedy przeważnie leją się nożami. Od takich to lepiej z daleka.

- Dziękuję za radę. Jeszcze poproszę o pół literka.

„Wyglądam na jakiegoś maminsynka? Czy co?” – pomyślał Sprytny dochodząc do zaniedbanej rudery.

Gdy zbliżył się do progu domu, nagle zgrzytnęły otwierające się wrota.

- Coś ty za jeden? Szukasz guza frajerze? – ryknął przygarbiony typ z tygodniowym zarostem i przekrwionymi oczami, który pojawił się w ciemnej czeluści wejściowego korytarza.

„Musiał mnie widzieć jak szedłem od strony sklepu.”

- Mieszka tu Waldek Czereśniak? Walentino? – dorzucił Jurek widząc, że pijak się zawahał. – Garowałem z nim pod celą, na Montelupich, był moim waflem.

- To było dawno. Skąd mogę wiedzieć, czy teraz nie jesteś kurwą i nie kapujesz?

- Za takie słowa należy ci się w baniak – nienawistnie warknął Jurek, lecz się opanował.

Jego reakcja musiała wzbudzić respekt pijusa, bo wprawdzie zgiął nogi w przyczajeniu, lecz patrzył na przybysza z ciekawością.

- Opuść cię, bo mnie nie znasz – zmienił Jurek ton na pojednawczy. – Przynies jakiegoś szkła – wyciągnął zza pazuchy butelkę, uderzył w dno i flaszka wypłuła korek.

- Nie ma szkła, potłuczone. Daj łyka, bo się rozlece.

Teraz Wołczecki zobaczył, że przygarbiony gospodarz z rękawa wysunął duży rzeźnicki nóż i odłożył na parapecie okna. Kiedy sięgał po butelkę jego dłoń trzęsła się jakby dostał silnego ataku febry.

Z powrotem na kolejowy dworzec do Nowego Targu, dojechał okazją w sfoferce ciężarówce wiozącej długie pnie ściętych świerków. Już w pociągu, gdy dojeżdżał o zmroku do Zakopanego, poczuł nieznośne suszenie w gardle i lekki ból głowy. Dokuczał kac po wypitej wódce. „Zbawiłaby mnie butelka piwa” – chciał już wstąpić do dworcowej restauracji. „Nie, napiję się już w Morskim Oku” – postanowił ruszając w stronę Krupówek. Tam miał urzędować „najstłyniejszy z naszej złodziejskiej rodziny” – jak go określił nieogolony rozmówca z którym opróżnił flaszkę – starszy brat Walentino. W znanej z opowieści restauracji, mieszczącej się na parterze hotelu zbudowanego w stylu zakopiańskim, odbywał się dancing. Grał zaskakująco dobry kwartet jazzowy, wprawiając Jurka Wołczeckiego w osłupienie. Aranżowane na jazzową rytmikę znane argentyńskie tango Besame Mucho swą ekspresją wywołało w Jurku dreszcze. Poczuł się jak dawno temu we Lwowie, gdy z wytwornie ubranym przyjacielem ze szkoły złodziejskiej, weszli na dancing do hotelu Georges. „Zupełnie jak przed wojną, miałem wtedy jakieś szesnaście lat – niespodziewanie ogarnęła go sentymentalna refleksja – Boże, już tak długo nie żyje Jasny Lolo” – przypomniał sobie noszącego znakomicie na nim leżące garnitury przyjaciela - lwowskiego złodzieja.

Szybko otrząsnął się ze wspomnień. Przybył tu z ryzykowną misją. Walentino – słynny doliniarz i farmazon[1] – nie kłamał. Sądząc po twarzach i stylu ubierania się, klientela w Morskim Oku nie wyglądała na hołotę, której było coraz więcej w krakowskich restauracjach i kawiarniach. Schodzący się do Morskiego Oka ludzie mieli inteligentne twarze i szykowne ubrania. Jego uwagę zwróciła efektowna blondynka, ze znakomitą wycuciem rytmu wyginająca na parkiecie ciało obciśnięte srebrzącą sukienką. Jej partnerem, wokół którego wykonywała półpiruety, był zgrabny o lalkowatej urodzie młodzieniec w angielskim battledresie. Jurek wykupił bilet wstępu i poprosił o posadzenie go przy narożnym stoliku, skąd mógł obserwować całą restaurację. Z prawej strony mieścił się szereg okien werandy, z których widział ludzi wstępujących po schodkach do restauracji.

Jeśli mógł myśleć o tak potrzebnym łucie szczęścia, aby wcielić w życie pomysły snute przy ubeku Pachcicu, to łaskawość losu spotkała go po szybkim opróżnieniu kufła grzanego piwa. Rozchodzące się po ciele ciepło oraz zaspokojenie nieznośnego pragnienia, poprawiło mu samopoczucie. Zobaczył mężczyznę energicznie pokonującego schody. Coś go tknęło. Za moment przy wejściu rozległo się szurgotanie nóg.

Jurek poderwał się z krzesła. Nie chciał wierzyć oczom. „To on”! Do środka restauracji usiłował wejść Walentino. Miał siniaka pod lewym okiem i wprawdzie ubrany był w drogi garnitur, jego rozpięta pozbawiona krawata koszula wyglądała na wymiętą, a włosy były zmierzwione.

- No nie... mam nadzieję, że nie wpuszczą tego wariata, znowu będzie chciał się bić – usłyszał Jurek głos brunetki z sąsiedniego stolika.

- My tu nie potrzebujemy awanturników! Pan tu nie wejdzie! Ja to panu udowodnię – podniósł głos jeden z dwóch cerberów sprzedających bilety na dancing. Złapał usiłującego wejść za rękę.

Poderwał się drugi cerber i chwycił Walentino za drugie ramię.

- Pan jest pod wpływem alkoholu. Nie wpuszczamy osobników w stanie nietrzeźwym. Panno Krysiu! Panno Krysiu! – krzyczał dancingowy bileter do kelnerki oddalającej się w stronę bufetu. – Proszę zadzwonić po milicję.

- Już dzwonię – przyspieszyła kroki dziewczyna w ludowym góralskim stroju.

- Jesteście robactwem, małymi insektami. Nie macie pojęcia kim jestem, wy nędzne kreatury, niegodne wyczyścić mi butów – oburzał się Walentino.

- Zaraz pojedziesz na komisariat – tam już chyba wiedzą, kim jesteś. Będziesz śpiewał baranim głosem.

„Muszę mu pomóc” – z krzesła poderwał się Jurek Wołczecki.

Wbił palec w niezaszytą do końca wewnętrzną część kieszeni marynarki, gdzie pod warstwą podszewki ukrył legitymację oficera UB i po rozpruciu słabiutkiego szwu wyrwał ją ruszając w stronę szarpiących się mężczyzn.

- Komenda Wojewódzka, Urząd Bezpieczeństwa! – ryknął na cerberów. – Proszę go puścić – machnął im przed oczami dokumentem opatrzonym własnym zdjęciem. – Aresztuję go – dodał chwytając przed-

wojennego towarzysza z celi za przegub nadgarstka i zaczął go pulsacyjnie zaciskać.

Walentino, mimo że lekko pod gazem, natychmiast rozpoznał Wołczeckiego.

- Czereśniak, idziemy. Tylko bez kawałów – warknął Jurek puszczając do kolegi dyskretnie oko. – Samochód stoi za rogiem.

Cerberzy się odsunęli z ogłupiałymi wyrazami twarzy.

- A ty!... – krzyknął Valentino w stronę parkietu. – Jeszcze będziesz mnie błagał o litość i łaskę!

- Możesz mi skoczyć na wacka – odkrzyknął przystojniak w brytyjskiej bluzie tańczący z blond piękną.

Jurek zdziwił się. Teraz zauważył, że partner seksownej tancerki, poniżej wojskowej bluzy opatrzonej na naramienniku naszywką *Poland*, ma przypiętą do pasa płócienną kaburę wraz z oficerskim rewolwerem Smith – Wesson.

Chwilę później dawni współlokatorzy celi przeskoczyli ulicę Krupówki i skręcili w zaułek między murowane domy. Valentino przystanął i przez parę sekund nasłuchiwał zbliżającej się bryczki. Pociągnął Jurka za rękaw.

- Chodź tu do cienia. Te skurwysyny jadą po mnie.

- No, jakby nie ja, twój stary wafel, to by cię zgarnęli – powiedział wypełniający ubecką misję Wołczecki i ruszył za kolegą.

Stukot kopyt kłusujących koni i turkot nadjeżdżającego powozu był coraz bliższy.

- Poszczyło to się tobie – przyciszonym głosem odezwał się Valentino, gdy znaleźli się w półmroku. – Popatrz – wskazał ruchem głowy przejeżdżającą w oświetleniu ulicznej lampy dorożkę.

W bryczce siedzieli dwaj rośli górale uzbrojeni w sowieckie automaty, a trzeci, powożący końmi, w poprzek kurtki miał przewieszoną, połyskującą iskrami złocistych łusek, taśmę amunicji.

- Co to za jedni? Milicjanci?

- Milicjanci, milicjanci, ale nie ci co myślisz. To ludzie Ognia. Masz wafłu więcej szczęścia niż rozumu. Jakby dopadli tajniaka z UB... i to jeszcze z komendy wojewódzkiej, to od razu kulka w łeb albo pętka na grubej gałęzi.

- Słyszałem, że Ogień opanował prawie całe Podhale, ale za wyjątkiem Zakopanego i Szczawnicy.

- To źle słyszałeś. Zakopane jest w jego łapach.

[1] Przystępca elokwentny, potrafiący omamić ofiarę sugestywną narracją.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 05.04.2018 15:53

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.